

28 sierpnia 2009 roku, w samo południe czasu lokalnego, wraz z szóstką pozostałych członków wyprawy i w towarzystwie dwóch przewodników – mojego ulubionego Jarka Figla – szefa firmy Exploruj, a jednocześnie naszego lidera oraz Rosjanina Aleksandra – stanęłam na wierzchołku Elbrusa (5642m.n.p.m) – najwyższego szczytu Kaukazu i Europy. Taki sukces smakuje równie wybornie, jak mój ulubiony tort czekoladowy z malinami. Zapraszam Czytelników do podelectowania się wraz ze mną tym smakiem.....

ROSJA W TRZECH ODSŁONACH

Zdecydowałam się na taki tytuł, choć pomyślałam, że wszystkie moje artykuły mogłyby mieć właściwie zawsze taki sam początek – „spełnione marzenia”. Wyprawa na Elbrus to właśnie jedno z tych kolejnych marzeń, które się spełniło. Na warszawskie Okęcie dotarłam przed pozostałymi uczestnikami wyprawy. Jarek, który już czekał na całą grupę, przywitał mnie miłym komplementem: „o, ładnie wyglądasz”. Później w trakcie wyprawy wielokrotnie wyglądałam mniej ładnie, ale po kolei... Wkrótce zaczęli docierać pozostali. Nie znałam nikogo, więc z dużą ciekawością przyglądałam się poszczególnym osobom. Ile już razy doświadczałam takich spotkań? Fascynuje mnie zawsze to, że zupełnie nieznani ludzie stają się sobie bliscy w tak krótkim czasie. Wspólna pasja powoduje, że mówimy podobnie, podobnie czujemy, że nadajemy słowom takich samych znaczeń, co bardzo ułatwia komunikację. Z wielkim entuzjazmem opowiadamy o swoich „wyczynach”, przygodach, podróżach – i nie jest to nigdy licytowanie się, kto dalej, kto wyżej, kto bardziej ekstremalnie... Jest to raczej dzielenie się doświadczeniami i wzbogacanie swoją opowieścią doświadczeń innych. Dwaj poznani właśnie koledzy – Wojtek i Maciek ze szczegółami relacjonowali swoją próbę zdobycia Elbrusa sprzed roku. Przez siedem dni bezskutecznie próbowali zмагаć się z górą, a raczej z pogodą, która w okolicach Elbrusa bywa bardzo kapryśna – i to w zasadzie ona w zdecydowanym stopniu warunkuje wejście na szczyt. Ta opowieść z jednej strony nieco przerażała, bo już na odległość czuliśmy groźbę zamieci śnieżnych, silnego wiatru, zadymki, niskich temperatur. Z drugiej strony – przynamniej we mnie- budziła nadzieję na to, że jak im się nie udało rok temu, to matematycznie rzecz ujmując (rachunek prawdopodobieństwa), za drugim razem zdecydowanie wzrastają szanse na sukces ich, a przy okazji i nasz. A jak miało być, przekonaliśmy się już wkrótce. Teraz czekał nas krótki lot do Moskwy.

MOSKWA

Moskwę pamiętałam sprzed trzydziestu kilku laty – gdy byłam tam jeszcze jako członek Zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Pyrzyckiej. W pamięci miałam kolorową cerkiew na Placu Czerwonym, Mauzoleum Lenina i mury Kremla, za którymi wydawały się skrywać wielkie tajemnice tego kraju. Pamiętałam też niebywale długie ruchome schody w metrze oraz słynny GUM – ogromny, zbudowany w 1893 roku dom towarowy. Po wylądowaniu na międzynarodowym, potężnym lotnisku Szeriemietiewo zaczęliśmy przemieszczać się w stronę centrum Moskwy, jednego z największych miast świata. Dzięki niebywalej orientacji Jarka szło nam to całkiem sprawnie. Jedyłą trudnością było niesienie na plecach prawie dwudziestokilogramowego plecaka i trzymanie już mniejszego i lżejszego w ręku. Po rozlokowaniu się w tanim hostelu w marnej kamienicy (ceny w hotelach są w centrum niebotyczne) udaliśmy się prawie natychmiast na popołudniowe zwiedzanie tego niesamowitego miasta. Miasta o niepowtarzalnej aurze, pełnego wyjątkowych zabytków, tętniącego życiem, ale też miasta, które przepełnione jest nieprzeciętnymi kontrastami. Nawet nie trzeba zbyt intensywnie wyostrzać wszystkich zmysłów, żeby dopatrzeć się i jednego i

drugiego. Można zachwycić się widocznym gołym okiem bogactwem (rankingi prowadzone przez światowe media podają, że w Moskwie mieszka najwięcej miliarderów), ale trzeba też umieć zauważyć utrudzonych, umęczonych, zapracowanych ludzi w moskiewskim metrze. Na różnych głębokościach pod ziemią przemieszcza się dziennie około trzech milionów pasażerów. Poszczególne stacje metra – a jest ich aktualnie 177 - to często perełki architektoniczne. Do większości z nich trzeba zjechać ruchomymi schodami, których łączna długość wynosi prawie 70 kilometrów. Bywa, że stojąc na początku schodów, zupełnie nie widać ich końca (najdłuższe mają 126 metrów). Na Placu Czerwonym nadal zdecydowanie przyciąga wzrok niebywale barwna Cerkiew Wasyla Błogosławionego. Wygląda tak, jakby ktoś przeniósł ją z jakiejś fantastycznej, pogodnej bajki i wstawił w surowe realia otoczenia. Przy Mauzoleum Lenina, w którym spoczywa zabalsamowane ciało wodza rewolucji, nie stały, tak jak w moich wspomnieniach sprzed lat, niekończące się tłumy ludzi, którzy wówczas z własnej woli lub nie, oczekiwali na spotkanie z „wiecznie żywym”. Zdecydowanie inaczej było też w GUM-ie. Kiedyś dominowały tam rękodzieła sztuki ludowej, a teraz w tym wspaniałych arkadach handlowych można znaleźć stoiska najdroższych firm świata, można dostrzec takie ceny, że przez chwilę trzeba się w nie wpatrywać, żeby upewnić się, co do sprawności własnego wzroku. Co lepsza, po Placu Czerwonym spaceruje wiele kobiet ubranych od stóp do głów w te niebotycznie drogie rzeczy. Po ulicach, w niewyobrażalnej ilości, przemieszczają się najdroższe na świecie samochody, a zza zazwyczaj zupełnie czarnych szyb czasami spogląda bardzo młody człowiek. Czuje się atmosferę mafijnego majątku, który jest w posiadaniu wybrańców.

KAUKAZ

Kaukaz to nie tylko pasmo górskie. To przede wszystkim region świata na granicy Europy i Azji, ograniczony od zachodu przez wody Morza Czarnego, a od wschodu wody Morza Kaspijskiego. Ten skrawek Ziemi zamieszkuje tak wiele zróżnicowanych nacji, że nawet znawcom tematu trudno jest się w pełni orientować w tych zawiłościach. Nieustannie trwają tam też konflikty narodowościowe, a potrzebę samostanowienia i odseparowania się odczuwają coraz częściej nawet najmniejsze grupy etniczne. Nie jest to jednak artykuł o tym. Dla mnie Kaukaz to m.in. niebywale bogactwo przyrodnicze (około 6000 gatunków roślin). Sprawny obserwator może na powierzchni metra kwadratowego wyszukać kilkanaście rodzajów roślin, często endemicznych, a więc takich, których nie znajdzie się nigdzie indziej. Poszczególne piętra roślinności zachwycają paletą barw. Wysokogórskie łąki kuszą kolorami, kwiatowymi dywanami i zachęcają, żeby się na takim kolorowym dywanie położyć i pomarzyć, pomyśleć, pozachwycać się. Wielkie wrażenie robią kilkusetletnie sosny kaukaskie. Przybierają często dziwne kształty – bądź to wypiętrzają się niebywale w górę, bądź prawie słaniają na ziemi powalone przez dawno przeszłą lawinę. Soczysta zieleń drzew odbija się czasami w małych stawkach i jeziorkach. Góry Kaukazu mają łączną długość 1500 km, a szerokość nawet do 180 km. Stanowią więc raj dla eksploratorów i żądnych przygód podróżników. Tym bardziej, że nie są to góry tłumnie odwiedzane. Brak dobrych, a czasami nawet jakichkolwiek oznaczeń, skutecznie zniechęca przeciętnego turystę. Ośnieżone szczyty wydają się sięgać do nieba, a spływające z topniejących lodowców cieniutkie strugi wody często mają kilkaset metrów długości. Doliny górskie przyciągają swoim pięknem i nadzieją na kolejną przygodę. Nasze wędrówki w dolinie Adył-su, czy też dolinie Baksan tylko upewniały w przeświadczeniu, że Kaukaz jest wielką, niezbadaną tajemnicą. Mieliśmy możliwość zobaczyć z bliska i z daleka wiele intrygująco wyglądających szczytów – w tym piękny Dżan-Tugan (3991m.n.p.m), mogliśmy przejść po długim na setki metrów jezorze lodowca, przyjrzeć się z bliska przepastnym szczelinom, usłyszeć tętniące wodospady. Kaukaz zachwyca swoją urodą. Jest bardzo dostojny, surowy, ale jednocześnie sprawia

wrażenie, jakby zapraszał chętnych, ciekawych turystów i oferował im to wszystko, czego nie ma już w miejscach przedeptanych przez tłumy.

ELBRUS

O Elbrusie myślałam od dawna. Ciągłe intryguje chociażby z tego powodu, że nieustannie trwają dyskusje, co do jego położenia: jeszcze Europa czy już Azja? Przez wiele lat nie był traktowany jako najwyższy szczyt Europy. Królował wcześniej Mont Blanc (4810m.n.p.m) i dopiero pierwszy zdobywca Korony Himalajów czyli wszystkich ośmiotysięczników - słynny Reinhold Messner uznał autorytatywnie, że to jednak Elbrus powinien dzierżyć palmę pierwszeństwa. Nazwę góry tłumaczy się na wiele sposobów. W języku perskim samo słowo „elbrus” oznacza „dwugłowa góra”. I to właśnie ta nazwa wydaje się być najbardziej adekwatna i najtrafniejsza, bo Elbrus, to rzeczywiście dwa wyraźnie wyodrębnione szczyty (wyższy zachodni i niższy wschodni). Z miejscowości Azau, która leży u stóp góry, objuczeni jak muły, mieliśmy na szczęście możliwość wjechać „łamanym transportem” na wysokość około 3700m.n.p.m. do bazy Garabasi zwanej potocznie „beczkami”. Jak twierdzą niektórzy (być może zwolennicy sensacji) beczki są pustymi zbiornikami po paliwie raketowym, które zostały pomalowane w narodowe barwy Rosji i wykorzystane jako baza noclegowa. Gorzej jest, gdy w „beczkach” nie ma miejsca. Pozostaje wtedy podejść jeszcze wyżej na wysokość około 4100m.n.p.m., żeby skryć się gdzieś w murach starego, spalonego kiedyś schroniska Priut-11. A gdy i tam nie znajdzie się schronienia, to możliwe jest już tylko rozbić namiotu i zdanie się na łaskę pogody. Mieliśmy szczęście, a raczej przewidującego Jarka, który dzień wcześniej wysłał „posłańca” z pieniędzmi, aby zarezerwował nam miejsca w „beczkach”. Spokojnie wystartowaliśmy więc do góry. Po dotarciu do „beczek” prawie natychmiast wyruszyliśmy na aklimatyzacyjną wędrowkę do Skał Pastuchowa (około 4700m.n.p.m). Nie było łatwo, bo moja ekipa poruszała się nazbyt sprawnie, jak na moje możliwości. Nie chcąc pozostać w tyle wykorzystywałam wszystkie swoje zasoby i siły, a gdy opóźniałam się chociażby o kilka metrów nieustannie słyszałam od Jarka: „dawaj, dawaj...”. No i cóż było robić?. Trzeba było iść. Pod wieczór wróciliśmy do bazy i z wielką przyjemnością zabraliśmy się za gotowanie wody z roztopionego śniegu. Gorąca kolacja postawiła wszystkich na nogi. Następnego dnia należało do bardzo przyjemnych, bo polegał na odpoczywaniu i jedzeniu...Któż tego nie lubi? Małym urozmaiceniem był tylko skrócony kurs spadania z lodowca i hamowania czekaniem oraz wiązania węzłów na linach i taśmach. O ile wiązanie węzłów szło mi dosyć dobrze, to myśl o ewentualnym spadaniu z lodowca mroziła krew w żyłach. Nie chciałabym tego nigdy doświadczyć. No i nadszedł dzień, a właściwie noc wyjścia na akcję szczytową. Był 28 sierpnia, godzina czwarta rano. Za dość dużą opłatą skorzystaliśmy z małej „podwózki” w stronę góry wielkim ratakiem. Zaoszczędziliśmy w ten sposób trochę czasu i nie musieliśmy wychodzić wcześniej. Pogoda dopisywała. Było wprawdzie zimno, ale bezwietrznie. Powoli, krok po kroku, posuwaliśmy się za naszym rosyjskim przewodnikiem do przodu. Wschodzące słońce coraz piękniej oświetlało górę, a w nas wzrastała nadzieja na zdobycie szczytu za pierwszym podejściem. Trawers do Siodła (5300m.n.p.m) – przełęcz między Elbrusem wschodnim i zachodnim – pokonaliśmy dość sprawnie. Mijaliśmy inne ekipy, które także uznały, że będzie to dobry dzień na zwycięstwo. Czasami inne ekipy mijaly nas. Na wielu ta wysokość działała już bardzo wyraźnie. Zmęczenie i brak tlenu robiły swoje. A wierzchołek zdawał się być już tuż, tuż...Elbrus nie daje się jednak zdobyć tak łatwo. Kilukrotnie jakby „przesuwa” swój szczyt i mówi: ‘jeszcze nie tu, jeszcze kawałek...’. Aż przyszła ta chwila – było samo południe!

Jedną z dużych przyjemności związanych ze zdobyciem Elbrusa był moment, gdy w trakcie lotu z Moskwy do Warszawy stewardessa ogłosiła, że wita na pokładzie samolotu ośmioosobową grupę Exploruj, która właśnie pokonała najwyższy szczyt Europy. Brawa od

innych pasażerów i podziw widziany w ich oczach to nagroda, dla której warto wspinać się na najwyższe szczyty.

A na zakończenie słowa pochodzące z jednej z piosenek Władimira Wysockiego, które powtarzane są od lat przez pasjonatów gór i które ja w tym miejscu chciałabym przytoczyć: „od gór lepsze są tylko góry”.

Anna Gliszczyńska